

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

październik 2009 r.

Nr 10 (79)



Drodzy i mili Czytelnicy

Październik tradycyjnie poświęcimy sprawom oświatowym bądź też blisko z oświatą związanym. Przy okazji dotrzymamy słowa danego w poprzednim numerze

i rozliczymy się z naszych grzechów zaniechania. Będą to przeważnie wspomnienia nasiąknięte doznaniem z szczęśliwych (!?) czasów uczniowskich.

Włodek Kowalczykiewicz (młodszy) żałuje, że nie mógł być uczniem uroczej nauczycielki Pani Jadwigi Dobreckiej – ja miałem szczęście być Jej uczniem, a potem nawet „kolegą po fachu”. (Natomiast z Panem Czesławem Dobreckim oraz Stasiem Cieślakiem „rozkrecałiśmy” konkurs telewi-

zyjny „sześciu milionów” – kto to jeszcze pamięta?). Tadek Łasiński, poprzez esej językowy o łacinie, oddaje należny hold naszemu, nieodżałowanej pamięci wychowawcy, profesorowi Władysławowi Tupalskiemu. Z wielką przyjemnością chciałbym w tym miejscu przekazać również jak najcieplejsze i najszerzej pozdrowienia pani profesor Klarze Tupalskiej.

Eugeniusz Dziardziel wspomina dzieje byłego internatu z ulicy Kaliskiej oraz związanymi z nim (w naszych czasach) ciekawymi i wspaniałymi ludźmi.

Nieco zgryźliwie, ale zapewne z dużą dozą racji Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy) wykpiwa nagminną manierę numerowania szkół i nie tylko. To też wiąże się ze słynnymi już awanturami przy nadawaniu szkołom patronów.

Witamy na pokładzie Miecia Bryzgalskiego z jego opowieścią o dawnych prawdziwych obozach harcerskich. Jeszcze nas trochę pamiętających stare, dobre czasy pozostało – na szczęście, no, bo kto by to wspominał. Zapraszam również do rzetelnego artykułu historyka Ryszarda Głoszkowskiego poświęconego jeszcze wrześniowi 1939 roku, tym razem w Kleczewie.

Natomiast Bartosz Kielbasa zapoznaje nas z socjologiczną ciekawostką religijną pod nazwą „zjawisko churchingu” – interesujące.

Ja zaryzykowałem wywiad z Jankiem Sznajdrem z uwagi na jego piękną wystawę, która odbyła się w „Wieży Ciśnień”. Piszę zaryzykowałem, bowiem prowadzenie rozmowy z mistrzem Janem o spra-

wach, na których „wywiadowca” niezbyt dobrze się zna, może skończyć się dla niego kompromitacją – niestety nie było pod ręką historyka sztuki (na szczęście jest to prawie monolog). Najpiękniejszy prezent otrzymujemy od Mirki Dymitrow, stary most zwany kładką, na pożegnanie przed modernizacją.

Kolorowe jesienne pozdro! (a co?)

Stanisław Sroczyński

PS Dziękujemy pani Zofii Radziemskiej za sprostowanie datowania zdjęcia poświęconego konińskiej straży pożarnej (jest ono z 1931, a nie 32r.). Samej fotografii, z uwagi na dość ciemne tło nie uda się reprodukcja – podajemy zatem, że Pani Ojciec stoi trzeci z prawej strony. Dziękujemy, pozdrawiamy.

Zebranie TPK w Bibliotece Miejskiej – 20 października 2009 r. o godz. 17.00
Konkurs poetycki „Milowy Słup” – 23 października 2009 r. godz. 16.30 w ratuszu

Zła się nie zapomina, można jedynie je przebaczyć



Kleczewski wrzesień 1939 r.

70. rocznica wybuchu II wojny światowej, jak każda rocznica, skłania do wspomnień i refleksji. W chwili zadumy wywołanej rocznicą myśli nasze wybiegają do początku wybuchu wojny – 1 września 1939 r. Data ta szczególnie wpisała się na trwałe w pamięci Polaków jako najtragiczniejszy okres w naszej historii. Myśli nasze wybiegają szczególnie do miejsc walki z agresorem niemieckim i miejsc męczeństwa narodu polskiego oraz żydowskiego. Dla starszego pokolenia ma to być przypomnienie tamtych dramatycznych i tragicznych dni, dla młodego zaś okazją do poznania prawdy historycznej o wrześniu 1939 r. na ziemi kleczewskiej.

Sytuacja w Kleczewie i gminie na krótko przed agresją hitlerowską na Polskę była podobna do sytuacji innych miast i gmin w powiecie konińskim. Mieszkańcy żyli w atmosferze ciągłego podniecenia i niepewności. Z dnia na dzień narastały konflikty między mniejszością niemiecką a Polakami. W odpowiedzi na apel władz powiatowych mieszkańcy Kleczewa i gminy, przy biernej postawie Niemców, nie szczydziły pieniędzy na Fundusz Obrony Narodowej. Przyczynili się w ten sposób do zakupu 8 cekaemów wrzesińskiego 68. Pułku Strzelców Wielkopolskiej Piechoty. Duże ożywienie nastąpiło wśród organizacji byłych wojskowych i paramilitarnych. Ważną rolę w umacnianiu patriotyzmu i świadomości narodowej odgrywali członkowie Polskiej Organizacji Wojskowej, Związku Strzeleckiego, Stronnictwa Narodowego i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Na zebraniach i wiecach nawoływali oni do utworzenia wspólnego frontu w obronie Ojczyzny. Natomiast młodzież harcerska, PCK i Straż Pożarna przysposabiała swych członków dla potrzeb obrony cywilnej.

Na apel ministra spraw wewnętrznych z lipca 1939 r. o obowiązkach samorządów

terytorialnych – dotyczących przygotowań obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej – mieszkańcy Kleczewa i gminy ochoczo przystępowali do różnych prac w tym zakresie.

30 sierpnia 1939 r. Ministerstwo Spraw Wojskowych ogłosiło powszechną mobilizację. Rejonowa Komenda Uzupelnień w Koninie wręczyła wielu mieszkańcom Konina i gminy karty powołań mobilizacyjnych do różnych jednostek wojskowych w kraju. Dramat rodzinnych pożegnań ze zmobilizowanymi odbierał mieszkańcom resztki nadziei na lepsze jutro. Mimo to wszędzie panował porządek i niepokojąca cisza, jak przed burzą.

1 września 1939 r. wśród mieszkańców nastąpiła zmiana nastrojów, a to za sprawą bomb zrzuconych przez lotnictwo niemieckie na pobliskie Anielewo. Ich wybuch wywołał popłoch i przygnębienie z tego powodu, że niemieckie samoloty bezkarnie wtargnęły w głąb kraju, co świadczyło o słabości polskich sił powietrznych. Kiedy 3 września pojawiła się na lotnisku połowym w Białobrodach 34. eskadra rozpoznawcza Armii „Poznań” odżyły znów nadzieje i wiara w lepsze jutro. Jednak po kilku lotach rozpoznawczych 4 września eskadra opuściła lotnisko. Nazajutrz, o godzinie 6.00, lotnictwo niemieckie w sile 18 samolotów, nie wiedząc o opuszczeniu lotniska przez polskie samoloty, rozpoczęło jego bombardowanie w części zalesionej. Według naocznych świadków nad lotniskiem unosiły się w powietrzu konary i gałęzie drzew zmieszane z piaskiem. Domy drżały, szyby leciały z okien, odłamki bomb i kamieni spadały wszędzie jak wielkich rozmiarów grad. Przez tumany kurzu i piasku przebijało się poranne słońce. Ludzie chowali się do piwnic i ziemianek. Cały Kleczew stał się miastem wymarłym przez kilka godzin. Nadmierne poczucie pewności ustąpiło teraz miejsca poczuciu bezradności i niepewności. Większość mieszkańców była zszokowana i zdezorientowana, nie wiedząc,

co dalej robić. Jedni pozostali w domach, a inni wybrali się w nieznaną, dołączając do uciekinierów z terenów przygranicznych, podążających za cofającą się Armią „Poznań”. Pierwsi polscy żołnierze pojawili się w Kleczewie już 5 września. Zwoławszy ad hoc sąd polowy, rozstrzelali miejscowego Niemca Adolfa Konczaka, oskarżając go o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Incydent ten dostarczył później władzom okupacyjnym pretekstu do mściwych represji wobec Polaków. 6 września kwatery w rejonie Kleczewa jednostki Armii „Poznań” sukcesywnie opuszczały ten teren, idąc w kierunku Sompolna. Tymczasem w Kleczewie w miejsce ewakuowanych urzędów powołana została nowa, zastępcza administracja, w skład której wchodził działacz różnych organizacji społecznych i politycznych, a także byli pracownicy miasta i gminy.

„W dniu 12 września o godzinie 15.30 – wspomina Zygmunt Bartnicki – od strony Słupcy do Kleczewa wjechał 3-osobowy patrol niemiecki na motocyklu z karabinem maszynowym, ustawionym na przyczepie. Po objechaniu ulic, w ślad za nim, po 30 minutach wjechała kolumna samochodów z żołnierzami Wehrmachtu i lekkie czołgi. W następnym dniu po południu nadciągnęły niemieckie tabory konne. Sztab Wehrmachtu umieszczono w miejscowej szkole powszechnej (obecnie liceum). Do 25 października 1939 r. Kleczew wraz z całym powiatem konińskim wchodził w skład okręgu wojskowego poznańskiego. Z dniem 26 października tego roku władzę przejęła administracja cywilna. Okręg ten przemianowano na Kraj Warty (Reichsgau Wartheland) i włączono go do Trzeciej Rzeszy. Gmina Kleczew została mianowana obwodem urzędowym (Amtsbezirk), zarządzanym przez komisarza urzędowego (Amtskommissar). Pierwszym komisarzem-burmistrzem Kleczewa został mianowany przez landrata konińskiego W. Wilda Paul Wittenstein. Symbolem

jego władzy był pejcz, z którym nigdy się nie rozstawał. Do jego dyspozycji jako zwierzchnika był posterunek żandarmerii z komendantem Christianem Jacobsem. Wraz z uformowaniem władzy zmieniono też nazwy ulic i miejscowości, m.in. Kleczew – Lehmstaedt, Budziszlaw Kościelny – Bueslau, a Złotków – Goldenwiek. Priorytetem władzy okupacyjnej była polityka eksterminacyjna wobec Polaków i Żydów. Według danych niemieckich z 30 września 1939 r. w Kleczewie mieszkało 2 996 osób, w tym 2 201 – Polacy, 746 – Żydzi i 49 – Niemcy. Na podstawie list sporządzonych jeszcze przed wybuchem wojny, najpierw aresztowano i stracono tych, którzy popadli w konflikt z miejscowymi Niemcami. Byli to mieszkańcy Kleczewa: Franciszek Borowski, Jan Białecki, Ludwik Gotowała, Henryk Hajdrych, Antoni Harabień, Bolesław Heft, Franciszek Lewandowski, Nikodem Orłowski, Eugeniusz Rachubiński, Franciszek Swoszowski i Franciszek Wróblewski.

Zginęli w kampanii wrześniowej 1939 r. Władysław Chwaliński (Kleczew), Marceł Gaca (Tręby), Aleksander Kosmowski (Zberzyn), Feliks Kosmowski (Zberzyn), Władysław Kurdiak (Budziszlaw Kościelny), Jerzy Lutostański (Nieborzyn), Józef Maćkowiak (Kleczew), Tadeusz Powidzki (Budziszlaw Kościelny), Ireneusz Szałowski (Jarotki), Stefański (Tręby) i Franciszek Urbański (Alinowo).

Piotr Smarzyński – kierownik Szkoły Powszechnej w Kleczewie, porucznik rezerwy piechoty, uczestnik kampanii wrześniowej, jeniec Kozielska – został zamordowany w Katyniu (nr 3897 listy katyńskiej).

Jan Goiński – podporucznik, brał udział podczas kampanii wrześniowej w obronie Warszawy, a po jej kapitulacji walczył dalej w konspiracji w ZWZ-AK, biorąc udział w wielu udanych akcjach przeciw okupantowi. 27 lipca 1944 r. został aresztowany. Więzień obozów koncentracyjnych w Gross-Rosen, Nordhausen i Mittelbau, gdzie zginął w marcu 1945 r.

PS Wykaz nazwisk – ofiar poległych w kampanii wrześniowej autor artykułu sporządził na podstawie wywiadów i dokumentacji archiwalnej. Być może, że nie wszystkie ofiary kampanii wrześniowej udało się ustalić.

Ryszard Głoszkowski

LINGUA LATINA

Język łaciński – lingua latina – należy do rodziny indoeuropejskiej. Był początkowo językiem plemienia Latynów, zamieszkujących krainę Lacjum (Latium) w środkowej Italii. Latynowie stopniowo opanowali inne szczepy i plemiona Italii, a język łaciński rozpowszechnił się na całym Półwyspie Apenińskim. W 753 r. p.n.e. Latynowie założyli miasto Rzym – Roma, które było stolicą państwa Rzymian, a w późniejszych wiekach – wskutek podbojów – stało się centrum całego nieomal ówczesnego świata położonego w basenie Morza Śródziemnego. W imperium rzymskim, zwłaszcza na jego obszarach europejskich, język łaciński był językiem panującym. Dwa tysiące sto lat temu Plinius Gallus założył w Rzymie pierwszą szkołę retoryki łacińskiej. Uczono w niej teorii wymowy, sztuki

zapamiętywania oraz układania i wygłaszania przemówień. Stała się ona pierwowzorem i załączkiem przyszłych uniwersytetów.

Dzięki znajomości języka łacińskiego podbite narody, zwłaszcza Europy, poznawały zdobycze myśli, nauki i literatury nie tylko Rzymian, ale i Greków – genialnych myślicieli, poetów, filozofów i artystów. To także dzięki łacinie przetrwały do naszych czasów bogate treści kultury antycznej grecko-rzymskiej i wpłynęły na rozwój kultury duchowej i cywilizacji w Europie.

Od początku dziejów naszej państwowości język łaciński staje się w Polsce, podobnie jak w całej Europie, nie tylko językiem Kościoła, ale również dyplomacji, nauki, szkoły i piśmiennictwa.

Język Rzymian towarzyszy nam aż po dzień dzisiejszy. Posia-

damy bowiem nie tylko znaczną ilość wyrazów zapożyczonych z języka łacińskiego, ale także wiele wybitnych dzieł naszej literatury napisanych po łacinie. Pozostaje też wciąż językiem, w którym przeprowadza się ceremonie akademickie, na niej oparty jest także międzynarodowy system nazewnictwa roślin i zwierząt stworzony przez Karola Linneusza.

Język łaciński grał zawsze kluczową rolę w Kościele katolickim, ale od czasu Soboru Watykańskiego II nie kojarzymy już łaciny jako języka Kościoła, chociaż pozostała oficjalnym językiem Watykanu. Tym niemniej synod biskupów katolickich pod przewodnictwem Benedykta XVI uczynił gest w stronę entuzjastów mszy po łacinie. O jej pełnym powrocie do kościołów pewnie nie ma mowy, ale w dyskusjach powracała myśl, by

przywrócić ją częściowo i zachęcać wiernych, żeby odmawiali po łacinie niektóre powszechnie znane modlitwy, zwłaszcza na mszach wielonarodowych.

W Koninie najbardziej pomnikowym symbolem i świadectwem rzymskiej łaciny jest inskrypcja z 1151 r. wyryta na słupie milowym posadowionym obok kościoła pw. św. Bartłomieja, będącym jednym z najcenniejszych obiektów zabytkowych naszego miasta. Gdyby nie pozostała woda i szczotki ryżowej, tekst stałby się bardziej czytelny, przede wszystkim dla odwiedzających miasto przyjezdnych i turystów.

Mnie osobiście łacina towarzyszy od bardzo wielu lat. Zaczęło się od tego, że akurat miałem przypadkowe, czy raczej pokoleniowe szczęście, w którym łacina była jeszcze obowiązkowa, przynajmniej w niektórych klasach. Co więcej, w „ogólniaku” przy ulicy Mickiewicza uczył mnie jej pan Władysław Tupalski, jeden z najwspanialszych nauczycieli, jakich dane mi było spotkać. Profesor ukończył

filologię klasyczną i pedagogikę. Oprócz łaciny władał biegle językiem niemieckim i angielskim. Był jednym z nielicznych nauczycieli, z którymi kontaktowałem się nie tylko po ukończeniu liceum, później studiów, ale również, a może przede wszystkim, podczas mojej pracy zawodowej.

Ostatni raz widziałem Profesora siedzącego na szpitalnym łóżku i „studiującego” kartę wypisową z rozpoznaniem choroby nowotworowej, napisanej, a jakże po... łacinie. Odszedł w 2000 r., pozostawiając w smutku najbliższych i wiele pokoleń swoich wychowanków.

Od tamtych licealnych, zamierzających już dla mnie czasów łacina zdegradowana została najpierw do podrzędnej rangi przedmiotu nadobowiązkowego, potem zniknęła w ogóle lub prawie w ogóle.

Nasuwa się uporczywe pytanie: czy naprawdę nie za wcześnie zrezygnowaliśmy z łaciny w szkołach i z dziedzictwa retoryki łacińskiej?!

Tadeusz Lasiński



Tajemnica

Będzie to opowieść o szyfrowaniu wiadomości dotyczących kraju zwanego Polską, a w niej naszego kochanego miasta. Wszyscy, co są starsi, od obecnie młodocianych mieszkańców nadwarciańskiego grodu pamiętają, że niegdyś należeliśmy do zespołu krajów zwanych obozem socjalistycznym. Wiadomo, że w każdym obozie musi być porządek. Tym bardziej że celem jego (oboza) było utrzymywanie trwałej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim – ostoją pokoju na świecie. Aby ten pokój utrzymać, nawet szkoły były budowane w taki sposób, by w każdej chwili przekształcić je na koszary woj-

skowe. Kto nie ufa temu co tu napisane, niech się uda do morskowskiego, dawnego budynku Liceum Pedagogicznego. Niech też zajrzy do muzeum plakatów i przeczyta wielkimi literami wypisany apel do młodzieży: Nie maturo! lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera!

Walcząc o pokój zagrożony imperializmem angloamerykańskim oraz odradzającym się rewanżyzmem Niemiec Zachodnich, musieliśmy być czujni. Do tego zobowiązywał nas nakaz ciągłego zachowywania tajemnicy służbowej i wojskowej. Właśnie z tych, stalinowskich lat, pochodzi dowcip o żywieniu żołnierzy. Nie mówiono, że jedli grochówkę, lecz – zupełnie ogólnowojskową numer trzy.

W tych czasach do więzienia szedł ten, co fotografował ciotkę stojącą przed dworcem kolejowym, względnie utrwał na kliszy swoją dziewczynę na konińskim moście. Nie wolno tego było robić, bo imperialiści mogliby się łatwo dowiedzieć, że na Warcie był most drewniany, a w budynku kolei państwowej mieszkał zawiadowca stacji.

Październik roku 1956. Czas dojścia do władzy partyjnej Władysława Gomułki. On to anulował zakazy fotografowania polskich budowli publicznych. Chwała mu za to.

To co powyżej państwo przeczytaliście, ma niestety swój negatywny ciąg dalszy. Zakaz fotografowania obiektów nie odszedł

na zawsze. Odrodził się za czasów gen. Jaruzelskiego. W Koninie, przy ulicy Powstańców Wielkopolskich, na budynku telekomunikacyjnym, pojawił się znak zabraniający fotografowania tegoż. Takich przykładów było więcej. Po Jaruzelskim nastały czasy jawności życia publicznego zwane demokracją. Czy naprawdę one zaistniały?

Jestem koninianinem. Znam swoje miasto. Ale, proszę, nie pytajcie mnie, gdzie jest siedziba szkoły podstawowej z numerem ... (wpisać liczbę przez siebie zmyśloną). Dziwię się, czemu obowiązuje tajemnica ujawniania patronów placówek powszechnego uczenia dzieci i młodzieży. Dlaczego mieszkańcy dzielnicy Łężyń muszą pamiętać, że na Chorznium mieści się szkoła o takim, a nie innym numerze. Dlaczego ja – koniński starzec – mam ćwiczyć pamięć matematycznego porządku zamiast cieszyć się ze szkoły mają-

nad sobą patronów dużej mary i są postawione w dzielnicy... przy ulicy...

Jeśli czytelnicy myślą, że jestem uprzedzony do szyfrowania osiągnięć pedagogów i uczniów szkół, wpisać numery), to się mylą. Tajemnica obejmuje również przedszkola. Przez to w prasie czytamy o tym, że ktoś ważny odwiedził dziecięca. Tylko gdzie? Ano w przedszkolu numer...

Mało przykładów? Miejska Biblioteka też się ukrywa za numeracją. Jej filie mają numery, a ich siedziby również się utajniają.

Wniosek końcowy: Zupa wojskowa numer trzy przetrwała wszystkie powojenne czasy i czuje się niezłe. A Konopnicka i Koszałek Opałek niech się wreszcie dowiedzą, że nie patroni, lecz numery są ważniejsze.

Utajniony złośliwiec numer...

Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy)



Zjawisko churchingu na gruncie konińskim

Ostatnio nasilającym się zjawiskiem socjologicznym w większych miastach i metropoliach, wśród społeczności ludzi wierzących wyznania rzymskokatolickiego w Polsce jest zjawisko tzw. *churchingu* (ang. *church* – kościół), tj. chodzenia na nabożeństwa do innego kościoła aniżeli wynikałoby to z przynależności parafialnej. Obszar działania poszczególnych parafii jest tam niewielki, kościoły położone w niewielkiej od siebie odległości (często nowi, napływowi mieszkańcy nie wiedzą, do jakiej konkretnie parafii przynależą). Poszczególne osoby zrażone postawą nieudolnych księży odbywających posługę w ich rodzimych parafii często wybierają się na nabożeństwa do sąsiedniego kościoła, zwłaszcza jeśli panuje

powszechna opinia, iż będący tam duchowni cieszą się powszechnym szacunkiem i potrafią stworzyć atmosferę uduchowienia nie tylko podczas rekolekcji, ale również zrozumieć potrzeby parafian na co dzień (posiadają autentyczne powołanie). Duży wpływ na takie zachowanie ma więc styl posługi religijnej (zniechęca mechaniczne odprawianie liturgii, denerwujące kazania, nieustanne bezpodstawne wołanie o datki finansowe) czy negatywne cechy charakteru kleru parafialnego (nerwowość, lekceważenie problemów zwykłych ludzi, brak duchowości i wrażliwości, gorliwości, wywyższanie się).

Powyższy problem zauważyła i obszernie przedstawiła Ewa Czackowska w swym artykule zamiesz-

czonym w „Rzeczpospolitej”. Zjawisko *churchingu* występuje także w miastach średniej wielkości takich jak Konin. W starym Koninie, podobnie jak na starówkach innych większych miast (Poznań, Zielona Góra, czy Kraków) istnieje zagęszczenie przestrzenne świątyń. Koniński kościół św. Bartłomieja znajduje się w pobliżu klasztoru Ojców Franciszkanów Reformatów, a nieopodal znajduje się kaplica Miłosierdzia Bożego. Ponadto granice przynależności parafialnej poszczególnych ulic zwłaszcza na Pawłowku są czasem niewyraźne. Na osiedlu Sikorskiego budowany jest kościół, a osoba miejscowego księdza proboszcza Romana Ziemińskiego, zbierającego środki finansowe na realizację przedsięwzięcia, budzi

skrajne emocje wśród wielu osób.

Wszystkie te czynniki powodują, iż sporo wiernych z okolicznych parafii, a nawet z nowego Konina czy Zychlina i Brzeźna uczęszcza na liturgie do klasztoru Ojców Franciszkanów, motywując swój wybór zaangażowaniem zakonników w odprawianie nabożeństw. Ponadto osoby zamieszkujące na Osadzie i w Zalesiu (parafia Morzysław) bliżej mają do kościoła św. Bartłomieja aniżeli znajdującego się po drugiej stronie Warty kościoła św. Wojciecha w Morzysławiu, do którego trzeba by było pokonać kilka kilometrów.

Warto jednak nadmienić, iż w Kościele katolickim obowiązuje przynależność parafialna w swym założeniu mająca na celu integrację

lokalnej społeczności (troski o lokalny kościół, poczucia więzi). Sprawy finansowe są w dzisiejszych czasach elementem nieodłącznym funkcjonowania każdej instytucji (czy to się komuś podoba, czy nie). Motywy osób „churchingujących” mogą zatem wynikać z subiektywnych, niepotwierdzonych plotek i uprzedzeń, czasem słabej wiary i popadania w agnostycyzm, aniżeli z obiektywnego postrzegania rzeczywistości.

Zjawisko uczęszczania do innego kościoła, aniżeli wynikałoby to z przynależności parafialnej na ogół nie występuje na terenach wiejskich w powiecie konińskim, gdzie obszary objęte opieką duszpasterską proboszczów są znaczne (często w poszczególnych miejscowościach znajdują się filiały i kaplice). Zmiana miejsca praktyk religijnych wymagałaby tutaj poniesienia kosztów finansowych związanych z dojazdem, a na uwadze trzeba mieć w tym miejscu postępującą pauperyzację społeczeństwa wiejskiego i szerzenie się rozmaitych patologii wywołanych bezrobociem i nieopornością.

Bartosz Kielbasa

Wywiady Stanisława Sroczyńskiego

Rozmowa z mistrzem Janem, jednym z głównych przedstawicieli wielkiej rodziny talentów plastycznych w Koninie

– Zaczniemy ab ovo, od samiotkiego początku...

– No właśnie. Już jako niemowlę, z wielką pasją uzewnętrzniałem swoje zmagania twórcze na białych płaszczyznach pieluszek. Taki rodzaj tasyzmu...

– To miało być śmieszne czy wykrętne? Moim rozmówcą jest bowiem sam Jan Sznajder – malarz, pisarz, ale i poeta, znany animator kultury. We wrześniu można było obejrzeć Jego malarstwo w Galerii Sztuki „Wieża Ciśnień”. Czy czujesz się usatysfakcjonowany wystawą?

– I tak, i nie. Wybierając prace na wystawę, chciałem dać przegląd mojej twórczości z okresu ostatnich kilkunastu lat. Taka retrospekcja jest, jakby nie patrzeć, próbą jakiegoś podsumowania. Otóż mam takiego artystycznego katechizm, że użyję znanego mi skądinąd porównania – i tylko porządny klin może mnie podnieść na duchu. Taki klin to nowy obraz, a ja czuję się pusty. Z drugiej zaś strony rzecz biorąc, doznałem tak wiele serdeczności od tak wielu ludzi będących na wernisażu, że kropelki miodu spływały mi do serca. W tym miejscu chciałbym podziękować Urzędowi Miasta za opiekę. Robertowi Brzęckiemu za wielce udaną ekspozycję i pięknie wydany katalog. Eli Barszcz za

serdeczność i wkład pracy w organizację wystawy. Ani Dragan za uprzywilejowanie mojej twórczości wnikliwym wstępem do katalogu oraz recenzjami. Maćkowi Sypniewskiemu za świetne, profesjonalne fotografie moich obrazów. Równie serdecznie dziękuję widzom, łagodzącym mój przykry, jak mówiłem, katz ...

– Faktycznie, w dniu otwarcia, sala wystawowa pękła w szwach. Jak myślisz, dlaczego ludzie darzą Twoje malarstwo takim zainteresowaniem?

– Powiedziałbym tak – moja rodzina zadomowiła się w Koninie od nieomal 150 lat. Miasto to prawie sami znajomi (to by nie wystarczyło – dop. mój). Opowiem Ci w takim razie pewną anegdotkę. Konin liczył 20-30 tys. mieszkańców, mój znajomy wracał pociągiem z Poznania do Konina i usłyszał taką mniej więcej rozmowę dwojga młodych ludzi w przedziale. Ona mówi, że jest koninianką. On nie wierzy, sprawdza jej znajomość miasta. W pewnym momencie pyta – a znasz pana Jana Sznajdra? – znała, zatem naprawdę koninianka... I jeszcze jedną. Kiedyś panowała moda na tak zwane „zgaduj – zgadule”, takie dzisiejsze quizy. Jurorem był często twórca pierwszego w Koninie muzeum, historyk z zamiłowania, Zygmunt Pęcherski. Opo-

wiadał mi, jak to uczestnik konkursu wyciągnął z pytaniem – „wymień trzech malarzy polskich”. Delikwent zaczął: Matejko, Chełmoński... przy trzecim zaciął się na amen. Komisja czeka, on nic. Nagle rozpromienił się i wyrecytował z ulgą: Sznajder.



I wiesz – powiedział do mnie Pęcherski – odpowiedź uznałem...! Jak widać onegdaj byłem dość znany w Koninie i część moich bliższych i dalszych znajomych przychodzi na moje wystawy bardziej dla mnie, niż dla wystawianych obrazów (klasyczny przykład fałszywie skrywanej dumy – dop. mój). Ale są i tacy, którym zapewne moje malarstwo jest bliskie. Chyba nawet wiem, dlaczego. Moje prace są wieloznaczne, każ-

dy może znaleźć w nich coś dla siebie. Kiedyś uważałem, że jeśli widz odbiera obraz wbrew intencji autora, obraz jest zły. Dzisiaj pozostawiam widzowi swobodę interpretacji. Właściwie staram się nie nazywać swoich obrazów. Czasem sugeruję w nazwie pewne treści. Najczęściej są to jednak nazwy czysto umowne, pomocne w katalogowaniu.

– Do tej pory mówiliśmy – o, przepraszam, m ó w i l e ś – bardzo szeroko o sztuce, chcę wiedzieć co sądzisz o s w o j e j sztuce?

– N i c! Akt twórczy jest hermetyczny, nie daje się wyrazić przy pomocy słów. Ową intymność tworzenia widz próbuje podejrzeć. Czasem, w niewielkim stopniu, to mu się udaje. Wtedy następuje rezonans między twórcą a odbiorcą. To wszystko.

– Dziękuję za rozmowę, sporo się nauczyłem. Czego Ci życzyć na przyszłość...

– Konsekwencji w działaniu i umiejętności wyciągania prawidłowych wniosków.

– W malarstwie?

– W życiu t e ż!

StS

PS Nie muszę dodawać, że wywiad ten jest zaledwie zarysowaniem ciekawego życia Janka Sznajdra na podstawie rozmowy o j e d n e j tylko wystawie.

Koncert w Łądzie

Spotkały się po raz drugi w ludzkim kościele uroda i piękno wspaniała muzyka barokowych twórców współbrzmiała z urokliwym wnętrzem barokowej świątyni wypełniła ją klasycznym brzmieniem twórczych kompozycji wydobywanych z czarnych punkcików na pięcioliniach przez doskonałych chórzystów muzyków dyrygentów

a uradowana Polihymnia w swoich słodkich objęciach unosiła słuchaczy w najwyższe nieskalane kręgi dźwięków melodii harmonii

odpadły gdzieś codzienne troski niecierpliwy mrok gęstniał za oknami czas stanął w miejscu a zauroczeni i otoczeni muzyką czuliśmy się prawie jak w przedślonku nieba...

Jadwiga Naskręcka

Redakcja dedykuje wiersz Jankowi, który z Łądy pochodzi

Konińskie obozy harcerskie lat 40. XX wieku

Zainspirowany artykułem Z. Kowalczykiewicza „O Druhu harcmistrzu i obozie harcerskim” pragnę podzielić się z czytelnikami wspomnieniami z tych niezapomnianych obozów. Byłem uczestnikiem zarówno tego obozu w Trzeszczykale (bo tak nazywaliśmy wówczas teren dzisiejszej elektrowni Pątnów), jak i organizowanego rok wcześniej w Tokarach. Komendantem tych obozów był niezapomniany druh Antoni Studziński. W szczególnej pamięci pozostał mi obóz w Tokarach (może dlatego, że był to mój pierwszy obóz) – pozwól zatem, Drogi Zygmunie, że rozwinę szerzej opowieść. Podążaj zatem czytelniku śladem moich myśli, przelanych na papier, a przekonasz się, jak to kiedyś harcerze obozowali. Rozpoczęły się wakacje ciepłego lata 1947 roku i jak co dzień na rozległych piaskach Kniei (tak nazywaliśmy fragment miasteczka Ślesin, w którym stał mój dom) graliśmy w palanta, gdy nagle „gruchnęła” wieść, że Hufiec Koniński organizuje w Dużym Borze w Tokarach obóz harcerski. Jeszcze tylko stosowne zapisy w szkole... i jak w piosence:

„A potem, potem, kiedyś był harcerzem, och ileż w domu było ambarasu,

Gdyś się sposobiał w swą daleką podróż, w daleką podróż do bliskiego lasu (...)

Teraz już tylko należało wyposażyć w niezbędne przedmioty plecak, na wierzch zrolować koc, przytwierdzić menażkę i kubek, włożyć mundurek, zawiązać chustę, do paska od spodni przypiąć finkę i... w dwus szeregu zbiórka.

Maszerowaliśmy do Tokar najkrótszą drogą duktami leśnymi wyciętymi przez czoł-

gi radzieckie, które 20 stycznia 1945 roku (po wysadzeniu przez Niemców mostu), aby zdobyć miasto, musiały robić objazd przez most przy śluzie w Gawronach i wjechać do Ślesina nie od wschodu a od północy.

Kiedy dotarliśmy do Dużego Boru, okazało się, że kilku harcerzy ubyło, powodem była lekka burza. Na miejscu okazało się, że koledzy z Konina rozbili już namioty i ze ściętych sosenek zbijali prycze. Pierwsze nasze zadanie polegało na napychaniu słomy do sienników i ułożeniu ich na pryzkach. Ogrodzony płotem z sosenek i lin obóz wyglądał następująco: centrum stanowił wykopany w ziemi rowek po okręgu o promieniu kilku metrów o głębokości kilkudziesięciu centymetrów, który służył do siedzenia w czasie posiłków i podczas uroczystych ognisk rozpalanych w czasie występów artystycznych, kiedy to odwiedzali nas rodzice czy zaproszeni goście. Na środku tego kręgu paliło się ognisko, a wokół niego odbywały się wszystkie uroczystości i apele. W pewnej odległości od kręgu rozstawione były namioty. Białe dla kierownictwa obozu, wojskowe, szare dla harcerzy i intendenta. Od strony stromej, piaszczystej zejścia do jeziora stała kuchnia polowa (lekką zadaszoną brezentem), a poza ogrodzeniem, od strony południowej była latryna (wykopany dół, zabezpieczony drągami). Od strony wschodniej była brama wejściowa i miejsce na posterunek wartowniczy. Wystrój artystyczny obozu to przede wszystkim różnego rodzaju symbole ułożone z kolorowych kamyczków, szkiełek, żwiru i tłuczonej cegły. Był oczywiście maszt, a na nim flaga obozowa.

Posiłki jedliśmy w menażkach, posługując się jedynie łyżką, napoje piliśmy w kubkach metalowych. Po każdym posiłku wszyscy zbiegali piaszczystą, stromą ścieżką nad brzeg jeziora i przy pomocy piasku zmywało się naczynia, ku ucieście pływających wówczas w dużych ilościach cierników, uklei czy kiełbików. Zajęć obozowych nie brakowało. Zdobywaliśmy sprawności harcerskie, przygotowaliśmy występy na uroczyste ogniska, a najmłodszy zbierał chrust konieczny do ich rozpalenia. W niedzielę po apelu i śniadaniu następował wymarsz do kościoła w Ślesinie. Staliśmy w kościele w czwórkach, a w czasie podniesienia klękaliśmy na jedno kolano, na drugim leżała czapka. Wieczorem przychodziła rodzina i znajomi, rozpalano uroczyste ognisko, a przy nim występy harcerzy. Pamiętam, jak zostałem wytypowany do rozpalenia ogniska. Kilkadziesiąt minut, w ustronnym miejscu nad jeziorem, ze zdobytą uprzednio paczką zapalek trenowałem zapalenie. Rzecz w tym, iż należało rozpalić ognisko od jednej zapalniczki. Trening pomógł i blamażu nie było.

Utkwiło mi w pamięci takie wydarzenie; kiedy odwiedził nas ksiądz z Konina, po wizycie odprowadzaliśmy go całym obozem na przystanek kolejki wąskotorowej w Ślesinie. Wymarsz nastąpił około godziny trzeciej w nocy, aby ksiądz zdążył na pociąg, który wyjeżdżał około godziny piątej, aby dojechać na godzinę ósmą do Konina.

Nie brakowało też zabawnych momentów. Zdarzało się bowiem, że w czasie snu przy przewracaniu się z boku na bok przy-

cza się zarywała, a zdziwiony delikwent lądował z hukiem na mchu. Dowcipni wysnuli nawet taką teorię, że te zdarzenia miały miejsce wtedy, kiedy na obiad kucharz ugotował grochówkę. Ale to oczywiście żarty.

Przypadek zrzucił, że 30 lat później w tym samym miejscu na obozie był mój syn. Były również namioty, ale w nich metalowe łóżka z materacami. Była zadaszona stołówka, białe talerze, sztuce, panie kucharki w białych fartuszkach, przenośne toalety. To był też fajny obóz, ale to nie był mój obóz z lata 1947 roku. W następnym roku dotarłem na obóz w Trzeszczykale, siedząc na bagażniku roweru, którego kierowcą był przez wszystkich lubiany nauczyciel wychowania fizycznego szkoły w Ślesinie pan Sawczuk. Z tego obozu mam mniej nieco wspomnień. Pamiętam tylko piękny staw w lesie, do którego chodziliśmy po wodę, płytkie jezioro zasobne w węgorki, liczne dęby, niewypały, które przyjeżdżało rozbrajać wojsko, a oprócz kolegów utkwily mi w pamięci nazwiska kadry obozowej. Oprócz komendanta druha Studzińskiego byli druhowie: J. Skórzewski, J. Szymczak, J. Jaworski, a wcześniej w Tokarach oprócz wymienionych, miejscowi zastępowi, Włodek Piechocki i Mietek Szudlarek. Następne obozy były w Czerwieńsku, ale tam mnie nie było. Może ktoś z kolegów, uczestników tamtych obozów napisze coś na ten temat?

Pozdrawiam wszystkich kolegów, uczestników tych eskapad.

Mieczysław Bryzgalski

Wspomnienia o zapomnianym internacie I LO w Koninie

Byłem kilka razy na zjazdach absolwentów LO i nigdy nie usłyszałem nic o byłym internacie. Wiadomo, iż zbliżamy się ku końcowi naszej ziemskiej egzystencji, a faktów historycznych nie należy zapominać lub wymazywać. Zachodzi więc konieczność, aby tym co są wśród nas, ale także tym – może najważniejszym, co kształtowali nasze młode polskie umysły i odeszli na zawsze, powiedzieć – dziękujemy.

Dziś mało kto pamięta z mieszkańców Konina, że w latach pięćdziesiątych i początku lat sześćdziesiątych XX w. był internat dla młodzieży – uczniów I LO w Koninie. Znajdował się on przy ulicy Reformackiej 2 w klasztorze oo. Franciszkanów Reformatów. Zaraz po zakończeniu II wojny światowej w pomieszczeniach klasztornych otwarto Szkołę Podstawową nr 1. (Po kilku latach odrestaurowano budynek szkoły przy ulicy Kolskiej).

W opuszczonych pomieszczeniach klasztornych władze oświatowe Konina zorganizowały około stuosobowy internat dla dziewcząt i chłopców.

Na parterze klasztoru znajdowały się jadalnia, kuchnia i jedna czteroosobowa sala sypialna dla chłopców, zwykle dla maturzystów. Resztę pomieszczeń na parterze zajmowali oo Franciszkanie Reformaci (przypominam sobie 5 osób) oraz Przedsiębiorstwo Państwowe Ruch.

Na piętrze mieszkały dziewczęta (w tzw. okrągłakach). Dwie

sale zajmowali chłopcy (jedna na 27 łóżek, druga na 4 łóżka). Znajdował się także mały pokój dla wychowawców oraz mieszkanie dla kierownika internatu. W tych latach (1951-55) był to pan Tadeusz Worwąg. Była jedna wspólna łazienka dla wszystkich z zimną wodą. Mieszkańcami internatu była przeważnie młodzież pochodząca z wiosek i małych miasteczek powiatu konińskiego.

Mieszkańcy internatu stanowili sporą część społeczności uczniowskiej ówczesnego LO przy ulicy Mickiewicza w Koninie. Warunki mieszkalne były dość znośne. Nikt z mieszkańców się nie uskarżał – zapewne w domu rodzinnym w tych czasach lepszych nie było. W każdym pokoju był kaflowy piec do ogrzewania zimą. Codziennie palił woźny, a w niedzielę paliliśmy sami (woźny miał wolne). Woda do łazienek tłoczona była przy pomocy pompy elektrycznej znajdującej się w studni na dziedzińcu internatu. Zdarzały się awarie lub brak prądu, to trzeba było pompować ręcznie. Chodziliśmy także z wiadrami po gorącą wodę na ulicę Kolską, którą zrzucali zakład – rektyfikacja – do kanalizacji miejskiej jako nadmiar od chłodzenia aparatury. Mieszkańcy brali także udział w przygotowywaniu produktów żywnościowych na zimę. Rodzice – szczególnie rolnicy – przywozili w ramach zapłaty za pobyt dziecka w internacie płody rolne (w tym czasie pobyt kosztował 242

zł). Były to szczególnie warzywa. Kapustę na zimę kwasiliśmy sami pod nadzorem wychowawców i pp. kucharek.

Produkty przechowywano w piwnicach klasztornych. Każdy mieszkaniec internatu posiadał własną pościel z siennikiem wypchanym słomą. Żelazne łóżka były własnością internatu wraz z szafami i mniejszymi meblami. Warto pamiętać, że część urządzeń sanitarnych znajdowała się poza budynkiem na podwórzu. Obowiązkowa nauka popołudniowa odbywała się w sali jadalni wspólnie (16.00-21.30) z przerwą na kolację (1 godzina). Na jakąkolwiek działalność kulturalną i sportową nie było żadnych warunków. Nie było też żadnej świetlicy lub radia. Sypialnie były bardzo duże, szczególnie dla chłopców kl. VIII, IX – 27 łóżek. Pozostałe około 7-10 łóżek.

W niedzielę mieliśmy więcej wolnego czasu. Można było pójść na mecz „Górnika” przy ul. M. Buczka. Można było pójść do kościoła (młodzież uczęszczała najczęściej do fary, chociaż mieliśmy czynny kościół za ścianą), gdyż protektorami w szkole byli księża diecezjalni. Warto Ich wspomnieć: ks.ks. J. Trzaskowski, Frątczak, S. Kilian.

Należy także oddać słowa podziękowań naszym wychowawcom, tym, którzy są jeszcze wśród nas. I tak p. Al. Kozłowskiemu, późniejszemu dyrektorowi LO, p. E. Sobczakowi, późniejszemu kierownikowi internatu i nauczycielowi

LO, p. K. Tupalskiej, zarazem nauczycielowi LO, p. St. Musiałek, zarazem nauczycielce LO.

Nie wolno także zapominać o tych, którzy już odeszli na zawsze: p. M. Worsław, p. T. Worwąg, p. E. Gienza, p. I. Lechtańska oraz niezapomniany wzór wspaniałego człowieka, wychowawcy, pedagoga oraz prawdziwego przyjaciela każdego ucznia – p. mgr Wł. Tupalskiego. Do dziś pamiętamy charakterystyczne powiedzenie naszych nauczycieli: *Synu, bo ci spodnie spióre czy Franiu, Ty cymbale lub Przyjacielu.*

Dziś, kiedy sięgam pamięcią, jako człowiek o podobnym profilu zawodowym i dużym doświadczeniu w tym zawodzie śmiem powiedzieć, że była to mądra kadra i prowadziła bardzo rozsądną pracę wychowawczą. W tak trudnych ideologicznie czasach nie odczuwaliśmy żadnych podziałów światopoglądowych. Żyliśmy w jednym budynku z oo. Franciszkanami Reformatami. Życie toczyło się we wzajemnym zrozumieniu i szacunku. Wyrozumiała kadra logistyczna pod wodzą p. Basi... jako intendentki i szefowej kuchni, p. Grundmanowej wraz z pp. Marysią Pokornowską (przygotowywała nam smaczne posiłki). Pamiętamy także słodkie kosztelki z sadu oo. Franciszkanów sprzedawane przez p. Kowalczykiewicza (był dzierżawcą sadu).

Tak toczyło się nasze życie uczniowskie do roku 1956 (57).

Internat został przeniesiony na ul. Kaliską do pomieszczeń po L. Pedagogicznym (przeniesiono je do Morzysławia). Warunki lokalowe się trochę poprawiły, ale niezbyt. Były tam kiedyś koszary wojskowe.

Pomimo różnych warunków socjalnych była to placówka wzorowo prowadzona (jak na owe czasy). Wychowawcy w internacie byli zarazem naszymi nauczycielami w szkole. Byli także wychowawcami w LO. Oni znali nasze troski i radości – my znaliśmy ich kłopoty

Należy choć w części wymienić naszych kolegów, którzy z tej placówki i z tej szkoły, z której pobierali wiedzę wynieśli dobre umiejętności w przyszłym życiu i pracy. Tu się uczyli i wychowywali: E. Brzęczek – późniejszy wojewoda koniński, M. Wojtowicz – późniejszy prof. UAM w Poznaniu, Z. Rogowski – późniejszy ksiądz; lekarze: K. Szefer, J. Zendlewicz, Z. Rzepecki – ordynator koniński, Z. Ślusarska. Liczni wychowankowie ukończyli studia wyższe i podjęli prace w różnych instytucjach, zawodach na terenie kraju, w szczególności na ziemi konińskiej.

Ta wspaniała placówka funkcjonowała do 1963 roku. Rozwój komunikacji w zagłębiu konińskim ułatwił młodzieży dojazd do szkół z całego terenu.

Jeżeli coś pokręciłem, proszę mi wybaczyć, upłynęło zbyt wiele wody od tamtych czasów.

Eugeniusz Dziardziel



Adam Asnyk, Zwiędły listek

*Nie mogłem tłumić dłużej / Najśłodszych serca snów,
Na listku białej róży / Skreśliłem kilka słów...*

Nauczyciele

Gdyby można było cofnąć czas, to do którego momentu z dzieciństwa chciałbyś na chwilę powrócić – zapytała mnie córka. Bez namysłu odpowiedziałem: Do sobotnich, wiosenno-letnich wieczorów. Widząc zdziwienie na jej twarzy, zacząłem opowiadać: Mieszkailiśmy wówczas przy ulicy Trzeciego Maja, w mieszkaniu, w którym szczególne znaczenie miała kuchnia. Dlaczego? Zaraz wyjaśnię. W czasach, gdy konińskie gospodynie miały przepiękny zwyczaj przyozdabiania „niedzielnich” stołów świeżymi kwiatami, twoi dziadkowie prowadzili gospodarstwo ogrodnicze. Dlatego w sobotę, w celach stricte zarobkowych, kuchnia zamieniała się w punkt handlowy, wypełniony po brzegi kwiatami. Klientów odwiedzających nasz dom dzieliłem na „zwykłych” oraz „zażytych”. Wizyty tych ostatnich przeciągały się do późnych godzin wieczornych,

czyniąc je pełnymi wspomnień, z rozpiętością tematów równej gamie zapachów rozpylanych przez kwiaty. A prawiono na przykład o tym: Kto podczas wystąpienia anty-sanacyjnych poniósł uszczerbek na zdrowiu? Zastanawiano się, dlaczego artykuły w sklepie u „Głobina” czy „Bądzdrówki” cieszyły się tak wielkim powodzeniem? Spierano się również, które z przeseł drewnianego mostu podczas powodzi runęło jako pierwsze.

W jeden z owych cudownych wieczorów, odwiedziła nasz dom Pani Jadwiga Dobrecka – nauczycielka, bibliotekarka, „almanach gotajski” o mieszkańcach Konina. Z tamtego „bukietu wspomnień” zapamiętałem Jej smutny wzrok oraz skierowane w moim kierunku słowa: „Szkoda, że młodzi podchodzą z takim lekceważeniem do naszych opowiadań o tym prawdziwym Koninie”. Nie wiem, czy to wskutek młodzieńczej przeko-

ry, ale wówczas postanowiłem w sztambuchu zapisywać ważniejsze daty.

Dzisiaj – dzięki tamtej „wizycie”, spoglądając na opuszczony budynek kina Górnika (dawnej Polonii), w notatkach pod datą 5.IV. 1968 roku mogę przeczytać: *Po gruntownym remoncie oddano kino*

„Górnika”, byłem na premierowym występie (sic) o godzinie 16.00. Jestem przekonany, że dla historyka to mało znaczące fakty. Natomiast dla ówczesnych? Może to wówczas wśród tłumu dzisiejsi dziadkowie dojrzeli piękno brązowych lub fioletowych oczu swoich przyszłych żon. Być może obecne wieczne młode babcie, urzeczzone otrzymalnym bukietem kwiatów wiedziały, że to właśnie Ten. A może tak prozaicznie... mieszczanie cieszyli się, że będą oglądać filmy na panoramicznym ekranie.

Dlatego Aniu, tak bardzo chciałbym przywołać tamte „kuchenne” rozmowy. Jakież stano-

wiłyby uzupełnienie słów Jadwigi Dobreckiej ze wstępu do albumu Włodzimierza Sznajdra: „...Bo to moje miasto odeszło. Jest tam na wzgórzu. Kamienne domki z krzyżkami i nazwiska znajomych...”.

Opowiedziałem Ci, że pani Jadwiga Dobrecka była nauczycielką – obojętnie nigdy nie uczestniczyłem w prowadzonych przez nią lekcjach, ba, nawet nie uczyła w tej samej szkole. Jednakże czy trzeba zająć szkolnych, by być dobrym wychowawcą? Iluż takich nauczycieli przewinęło się przez nasze konińskie „kuchnie”?

Włodzimierz Kowalczykiewicz (młodszy)



Do zobaczenia po modernizacji

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych, zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania

KONINIANA

ADRES REDAKCJI:
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,
tel. 063 243 77 00, 243 77 03
Redaguje zespół
Zarządu Towarzystwa Przyjacieli Konina
ISSN 0138-0893